

WŁADCA
PIASKÓW

ELIZA DROGOSZ

WŁADCA PIASKÓW

© Copyright by Wydawnictwo Poligraf, 2015

© Copyright by Eliza Drogosz, 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żaden fragment ani zdjęcie nie mogą być publikowane ani reprodukowane bez pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki: Izabela Surdykowska-Jurek, Magdalena Muszyńska

Redakcja: Monika Wójtowicz

Korekta: Klaudia Drózdź, Maciej Zalewski, Joanna Kokocińska

Skład: Wojciech Ławski

Książka wydana
w Systemie Wydawniczym Fortunet™
www.fortunet.eu

ISBN: 978-83-7856-249-8

Wydawnictwo Poligraf
ul. Młyńska 38
55-093 Brzezia Łąka
tel./fax (71) 344-56-35
www.WydawnictwoPoligraf.pl

**DLA ANIELKI,
MOJEJ NAPRAWDĘ
WYJĄTKOWEJ SIOSTRY**

Prolog

Nic nie zapowiadało burzy. Ani tej prawdziwej, ze stalowoszarym, ciężkim, ołowianym niebem oraz jasnymi błyskawicami, ani tej, która miała zniszczyć niejedno poukładane życie, zamącić w umysłach całego świata. Przed niektórymi odsłonić nieskończone możliwości, innych natomiast popchnąć ku zupełnie nowej drodze życia.

Tego dnia słońce pięknie świeciło, wiał lekki wiaterek, śnieżnobiałe obłoczki leniwie przemieszczały się po błękitnym, pełnym głębi niebie. Nieliczne złociste promienie przebijały się przez zielone listowie drzew jednej z paryskich alei, rzucając na chodnik jasne, migotliwe refleksy.

Pewien chłopiec starannie unikał świetlistych plam, pewnym krokiem wędrując niemal całkowicie opustoszałą promenadą. Szedł półcieniem, uważając, by nie wejść czasem w oświetlone miejsca, aby ich nawet nie dotknąć dłonią. To była jedna z zasad. „Przed i po spotkaniu zawsze trzymaj się cienia, chyba że jest to niemożliwe”. Dzięki temu nie rzucał się w oczy, co było dość istotne, jeśli chciał, żeby spotkanie było udane.

Chłopak uśmiechnął się pod nosem z zadowoleniem. Dziś wreszcie miał się dowiedzieć, co odkrył jego przyjaciel i czy warto było to zdobywać. Na pewno wiele się także nauczy, jak zwykle. Miał też kilka ważnych pytań, które męczyły go mniej więcej od tygodnia, a na które sam nie mógł sobie odpowiedzieć. Dziś wreszcie wszystkiego się dowie. Tak długo na to czekał.

Mógł już zobaczyć uliczkę, przy której mieli się spotkać. Zerknął na zegarek. Przyszedł w samą porę.

Skreślił w ślepy, ale jasno oświetlony zaułek. Uniósł wzrok, wcześniej utkwiony w szarym podłożu, i zamarł w bezruchu. Zmarszczył niepewnie brwi, zastanawiając się, co oznacza to, co właśnie zobaczył.

Ujrzał swojego przyjaciela, rozpoznał go po jasnych włosach i równie jasnym spojrzeniu. Mężczyzna stał na dodatek przodem. I bynajmniej nie był sam, jak być powinno. Jak zawsze było. Stał naprzeciwko pięciu ludzi, których chłopiec nie mógł rozpoznać z racji tego, że widział tylko ich plecy. Nie zauważyli, jak się pojawił. W sumie nic dziwnego, chodził przecież cicho jak duch.

Tylko co oni tu robią? Umowa była przecież jasna. Żadnych towarzyszy. Uważnie przyjrzał się całej grupie. Nieznajomi byli ubrani na czarno, a jeden z nich mówił coś cichym głosem do jego jasnowłosego przyjaciela. Nie mógł jednak zrozumieć ani jednego słowa, które padało z ust obcego mężczyzny, może dlatego, że ten strasznie mamrotał.

Chłopak rozważał właśnie, co ma zrobić i jak się zachować, czy podejść i przywitać się, czy może po prostu odejść? Wtedy znajomy blondyn wreszcie go zauważył. Utkwił w nastolatku swoje jasne, intensywne spojrzenie, tak mocne, jak zwykle, pomimo dzielących ich metrów.

Uciekaj, mówiły jego przerażone oczy. Uciekaj, póki możesz.

Chłopiec zmarszczył brwi, czując, jak chłodny dreszcz przebiega mu po plecach. Jego przyjaciel nie był strachliwy. Kim zatem są ci nieznajomi, którzy sprawiają, że jedna z najodważniejszych osób, jakie zna, drży jak osika? Czego chcą?

Nagle straszna myśl wpadła mu do głowy. Czyżby wiedzieli...? Nie, niemożliwe! Nie mogą wiedzieć. To wykluczone. *A może jednak...?* – szeptał jakiś uparty, cichy głosik. Chłopiec zadrżał w duchu. To rzeczywiście byłoby przerażające! Prawdziwa katastrofa, rodem z koszmarów. Zwłaszcza jeśli chcą tego, o czym opowiadał mu jego znajomy.

Powinien uciekać. Uciekać, i to natychmiast. Wiedział, że tak powinien zrobić. Lecz z drugiej strony... Ma zostawić przyjaciela? Tego, który wszystko mu pokazał? Przecież może pomóc! W kasztanowych oczach chłopca błysnęło zdecydowanie. Nie zostawi go samego! Przecież nawet go nie trzymają, na pewno razem dadzą radę.

Nie rób tego, przemówiły stanowczo oczy mężczyzny, gdy błyskawicznie odgadł jego myśli. Zdawały się także mówić: *Pamiętaj o umowie*. Chłopak zagryzł wargę. Według ich ustaleń, w takiej sytuacji powinien od razu uciec niedostrzeżony przez nikogo. To był prawdopodobnie jedyny sposób na uniknięcie wielkiego niebezpieczeństwa.

Ale zaraz. Ma zostawić przyjaciela na pastwę tajemniczych nieznajomych? Co powinien zrobić? Co zrobiłby jego znajomy? Na pewno by go ratował. W takim razie on też nie zawiedzie!

Jasnowłosy mężczyzna zmarszczył delikatnie brwi. Nie zgadzał się z jego decyzją. Próbował mu coś przekazać, ale tym razem nie było to tak oczywiste, więc równocześnie mogło mieć miliony znaczeń. Chłopak intensywnie, ale całkowicie bezskutecznie próbował odszyfrować spojrzenie przyjaciela. W końcu ten przykniął na chwilę oczy, a chłopiec poczuł, jak coś pojawia się w jego dłoni. Uniósł ją i delikatnie rozsunął palce. Błyskawicznie przebiegł wzrokiem po skrawku papieru pokrytym eleganckim, drobnym pismem w lśniącym, złotym kolorze.

„Nie dasz im rady, nawet nie próbuj. Ja nie dałem, a umiem więcej niż Ty. Oni wiedzą, kim jesteśmy. Są bardzo potężni, nie lekceważ ich. Myślałem, że wreszcie ich zgubiłem, ale oni i tak mnie znaleźli. A szukają i mnie, i Ciebie. Ale na Tobie bardziej im zależy. Jesteś ich głównym celem. Wiesz, dlaczego. Więc musisz uciekać. Możliwe, że znają Twoją twarz. Pamiętaj jednak, że na pewno nie wiedzą, jak się nazywasz. Jest mnóstwo podobnych osób na świecie. Nie będą mieli pewności, która z nich to naprawdę Ty. Prawdopodobnie tylko to może Cię uratować. Z tego powodu masz większe szanse niż ja. Nie daj się złapać, chroń też rodzinę. Za wszelką cenę nie daj się podejść, nie poddawaj się nigdy. Działaj zawsze sam. Nie ufaj nikomu. Nie wyróżniaj się i cały czas miej się na baczności. I jeszcze jedno. Oni też nie są zwykli. Za dużo potrafią. Musisz na nich bardzo uważać.

A teraz uciekaj, szybko! I nigdy nie zapomnij, kim jesteś oraz czego Cię nauczyłem”.

Chłopak ponownie spojrzął na mężczyznę, delikatnie chowając kartkę do kieszeni. Wahał się i bał. Nie tylko o swoją przyszłość, tak niepewną, jeśli wierzyć wiadomości. Również o swojego przyjaciela. Co go czeka? Wyglądał na przestraszonego. Co aż tak go przerażało? Czyżby ci dość niepozorni nieznajomi byli aż tak groźni? Co on powinien zrobić? Pomóc mimo wszystko? Uciec, a potem zawsze rozmyślać, co by było gdyby? Nieznajomi wcale nie wyglądali potężnie. Może dałby im radę? Jeśli ich zaskoczy... Ważne, by nie dowiedzieli się, że tu jest, a potem...

Ale wtedy karteczka, którą wkładał do kieszeni, zaszeleściła cicho. Zastygł w bezruchu, błagając w myślach, by jednak nikt go nie usłyszał.

I wszystko potoczyło się bardzo szybko.

Jeden z nieznajomych, ten, który wciąż coś mamrotał, odwrócił się z niezwykłą zwinnością, wlepiając w zaskoczonego chłopca płonący wściekłością wzrok. Nastolatek odruchowo cofnął się o krok. Z przerażeniem uświadomił sobie, że skądś zna te upiorne, rozżarzone oczy. Poczul obezwładniający lęk, jakiego nie doznał nigdy wcześniej. Nie mógł się ruszyć, po prostu stał i patrzył z przestachem. Nieznajomy uśmiechnął się drapieźnie.

– Kogo my tu mamy? Przypadkowa ofiara, jak sądzę? – syknął jadowicie głosem, który sprawił, że chłopak zadrżał.

Ale jednocześnie poczuł ledwie dostrzegalny cień ulgi oraz nadziei. Na szczęście nie został rozpoznany!

Jednak w tym samym momencie mężczyzna przekrzywił badawczo głowę, przyglądając mu się straszonym wzrokiem, w których błyskała złowroga inteligencja.

– Czy to możliwe...? – mruknął, mrużąc uważnie oczy.

Chłopak w jednej chwili poczuł napływającą panikę. On nie może go poznać! To będzie katastrofa! Ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Nie mógł się ruszyć ani o krok.

– Na co czekasz?! Uciekaj! – krzyknął nagle z trudem jasnowłosa mężczyzna, którego głos dotarł do niego jakby z bardzo daleka. Był bodźcem, który przywrócił go do normalnego stanu. Dziwny bezruch minął.

Chłopiec błyskawicznie odwrócił się na pięcie i pomknął przed siebie, nie słysząc niczego oprócz ogłuszającego szumu w głowie. Skąd on zna te oczy?! Te straszne, przerażające oczy? I ten ochryply głos, jakby zza grobu?

Biegł przed siebie najszybciej jak mógł. Nie zwracał już uwagi na unikanie światła. I tak go widzieli, więc nic mu to nie da. Zerknął za siebie i z przerażeniem ujrzał ścigający go tłum. Nieznajomych było więcej niż w zaułku. I cały czas ich przybywało.

Przyspieszył jeszcze bardziej, choć wcześniej nie wydawało się to możliwe. Przemknął przez ruchliwą ulicę, cudem tylko unikając przejechania. Wpadł na grupkę oburzonych, otyłych turystów. Potrącił ulicznego sprzedawcę pamiątek. Pędził jak na skrzydłach wiatru, co chwilę zerkając za ramię.

Nagle odskoczył gwałtownie w bok, unikając rozpędzonego czarnego samochodu. Rzucił szybkie spojrzenie do jego wnętrza, od razu rozpoznając w kierowcy mężczyznę z upiornymi oczami, który szczerzył się złowrogo oraz zawzięcie pochylał nad podrapaną kierownicą.

Zrobił gwałtowny zwrot i wpadł w uliczkę za wąską dla wielkiego auta. Przeskoczył rządę potężnych donic, wyminął elegancko ubraną kelnerkę i pobiegł dalej.

Skręcał na chybił trafił, starając się za wszelką cenę zgubić pościg. W końcu tupot butów ścigających wydawał się coraz dalszy, jednak cały czas niósł się echem gdzieś za nim. W pewnym momencie, po tym, jak całkowicie pogubił się w miejskim labiryncie, tupot ledwo docierał do jego wyczulonych uszu. Chłopak uśmiechnął się z dumą oraz ulgą, pędząc cichą uliczką. Poczul się odrobinę lżej, straszne napięcie trochę ustąpiło. Zaraz ich zgubi! Skręcił, gdy skręcała droga, pewny, że doprowadzi go ona do jakiejś główniejszej ulicy.

I wtedy, gdy ujrzał to, co skrywało się za zakrętem, zatrzymał się gwałtownie. Z niedowierzaniem wypisanym w powiększonych, przestraszonych oczach wpatrywał się w wysoki mur, odgradzający go od wolności. Ślepy zaułek! Wbiegł w drogę bez wyjścia.

Odwrócił się szybko, tylko po to, by odkryć, że wrócić może jedynie takim sposobem, jakim tu trafił. Ale na to było już za późno. Tupot stóp goniących był coraz głośniejszy. Wbiegli już w bardzo długą, ale ślepią uliczkę. Był w pułapce. Nie znał sposobu, by się stamtąd wydostać.

Z desperacją rozglądał się dookoła, ale nie znalazł jakiegokolwiek drogi ucieczki. Nawet okna były za wysoko, by do nich doskoczyć. Żadnych drzwi, żadnej bramy. Nic. Na dodatek gładkie ściany. To koniec. Nie ucieknę.

Wciąż rzucając dookoła szybkie spojrzenia, z niedowierzaniem obrócił się wokół własnej osi, równocześnie cofając się powoli od zakrętu ślepego zaułka, zza którego nieubłagane zbliżali się oni. Kimkolwiek byli.

Nie mógł uwierzyć w swoją sytuację. Wydawała się taka nierealna. Czy to dzieje się naprawdę? Wiedział, że niestety tak, że to nie zły sen, z którego można się obudzić. Ale nie mógł dać temu wiary. Albo raczej nie chciał.

W końcu oparł się plecami o mur lodowaty niczym jego drzące dłonie. Droga się skończyła. Naprawdę się skończyła. Z przerażeniem uświadomił sobie, że to już jego prawdziwy koniec. Faktycznie był w sytuacji bez wyjścia, w której nikt mu nie pomoże. No bo jak? Przecież nikt nie wiedział, dokąd się wymknął. Zrobił to w całkowitej tajemnicy. Jak zwykle zresztą.

Wzdrygnął się z przerażenia. Co go czeka? Po złapaniu na pewno gdzieś go wywiozą. Już nigdy więcej nie ujrzy nikogo znajomego. Z rozpaczą pomyślał o rodzinie, która nigdy nie doczeka się jego powrotu do domu.

Już nigdy nie pokłóci się z braćmi, nie kupi siostrze ciastek. Nigdy ich nie zobaczy. W jego oczach błysnęły łzy. Nawet się nie pożegnał. Na dodatek wychodził skłócony z młodszym bratem. Czy któryś z nich kiedykolwiek będzie żałował swego zachowania? Z pewnością. Ale już nigdy się nie przeproszą.

A co się stanie z nim samym? Skoro wiedzą, kim jest, na pewno nie czekają go miłe przeżycia. Wolał o tym nie myśleć. Jeszcze nie. Później będzie miał na to mnóstwo czasu. A czy w ogóle będzie żył? Zapewne nie mogą go zabić, ale kto wie, podobno aż tyle wiedzą?

Przypomniał sobie przerażonego przyjaciela. Skoro on się tak strasznie bał, to co dopiero ktoś dużo młodszy? No i ten mężczyzna z upiornymi oczami. Emanował okrucieństwem. Złem. Ciemnością. Jeśli go na dodatek pozna, co zapewne nastąpi dość prędko, na pewno

będzie chciał się zemścić. Chłopak miał bardzo mgliste wspomnienie, jakby zrobił mu kiedyś coś bardzo złego. Nie mógł sobie tylko przypomnieć, co to mogło być. A dziwne wrażenie było bardziej podobne do odległego snu niż do jawy.

Nie miał szans. To koniec. Odgłos kroków biegnących był coraz głośniejszy. Czas jakby zwolnił. Miał wrażenie, że nigdy do niego nie dobiegną. Bał się tego, co potem nastąpi, ale oczekiwanie oraz pograżanie się w czarnych myślach było co najmniej tak samo straszne.

Na nowo napłynęła fala myśli o rzeczach, których nigdy nie zrobi, o ludziach, których nigdy nie zobaczy, pogłębiając rozpacz z powodu braku możliwości ucieczki.

– Nie – jęknął pobladły chłopak, z całej siły zaciskając powieki.

Nigdy więcej nie zobaczy domu... Nigdy więcej nie zobaczy rodziny... Nigdy więcej nie nakrzyczy na brata... Nigdy więcej... Już nigdy... To koniec... Wiedział, że był zgubiony. Ale buntownicza dusza wołała, że to niemożliwe. On nie może tak skończyć! Tyle chce zrobić w życiu. Przed nim wielka przyszłość. Droga na szczyt. Wielkie możliwości. Czy to możliwe, by to wszystko miało się tak nagle urwać? Co z jego marzeniami? Na zawsze zaginą wraz z nim? Będzie żył nie wiadomo jak, nie wiadomo gdzie? Przystanie być sobą? Będzie więźniem bez rodziny, bez przyjaciół?

– Nie – warknął, otwierając nagle oczy.

Czy to sprawiedliwe?! On chce nadal żyć jak dawniej! Nie odbiorą mu jego życia. Nie podda się tak łatwo. Miał nie dać się złapać. A zatem, czy ma zawieść już na samym początku? Nie. Nie będą mieli z nim aż tak łatwo, jak myślał.

– Nie macie pojęcia, z kim zadarliście – mruknął chłopak, wpatrując się w róg uliczki z niezwykłą determinacją. Skąd się ona wzięła? Zapewne nikt nie wiedział.

Słyszał, że ścigający zaraz tu dotrą. Wskoczą zza zakrętu. To było pewne. Ale nie ujrzą kogoś przestraszonego. Raczej kogoś bardzo złego. W końcu miał tak zawsze. Strach szybko ustępował miejsca gniewowi. Zacisnął zęby. Gdyby teraz ktoś uważnie mu się przyjrzał, być może ze zdumieniem dostrzegłby dziwne zjawisko. Wydawało się, jakby jego brązowe oczy nabrały lekko czerwonego odcienia. Ale czy to możliwe?

Ścigający byli coraz bliżej. Bardzo blisko.

Wtedy w tęczówkach nastolatka zawirował złoty piasek.

W momencie, w którym pierwszy rozpędzony mężczyzna wypadł zza zakrętu, gdzieś tam, wysoko na niebie, piorun błysnął oślepiającym blaskiem. Rozległ się ogłuszający grzmot. Pierwsza ciężka kropla deszczu spadła na nagrany paryski chodnik. Czy tego chciano, czy nie, burza się zaczęła.



Rozdział pierwszy

W EGIPCIE

Sonia westchnęła głęboko, układając się wygodnie w lekkiej pościeli. Uśmiechnęła się z radością, w jej oczach zabłyśły gwiazdy, które obserwowała przez idealnie czystą szybę okna.

Jutro pierwsze zajęcia obozowe! Co będą robić? Niestety, aż do rana pozostawało to tajemnicą. Może będą mieli jakąś wycieczkę? Cóż, przekona się już wkrótce.

Wróciła myślami do zdarzeń sprzed kilku godzin, kiedy to po raz pierwszy samotnie postawiła nogę na kairskim lotnisku. Przyleciała samolotem bezpośrednio z Krakowa, gdzie mieszkała. Miała brać udział w międzynarodowym obozie młodzieżowym, zorganizowanym pod hasłem „Na piaskach egipskiej pustyni”.

Kilka miesięcy przed zakończeniem roku szkolnego dostała list z propozycją uczestnictwa, lecz pomimo egzotyki miejsca, atrakcyjnego programu i możliwości wspaniałej praktyki w posługiwaniu się angielskim, nie była zainteresowana. Po pierwsze, zaplanowali sobie wspaniałe rodzinne wakacje. Po drugie, tylko ona z jej znajomych dostała taką propozycję „w uznaniu za wybitne wyniki w nauce”, a sama obawiała się trochę jechać do obcego kraju, na obcy kontynent. Jednak wszystko się zmieniło, gdy jej siostra dość pechowo złamała sobie nogę podczas spaceru. Rodzinne plany runęły w gruzach, a Sonia miała dwie opcje: albo obóz w Egipcie, albo wakacje w domu. Naturalnie,

choć nie bez wahania, wybrała to pierwsze. Tak oto zaczęła się jej przygoda, choć sama nie miała jeszcze pojęcia, jak niezwykła.

Z Kairu ją, a także czternaścioro innych uczestników, zawieziono na miejsce busikiem, którego wnętrzu miało kolor zachodzącego słońca i było w miarę nowe, co naprawdę bardzo ucieszyło Sonię. Obawiała się, że będą podróżować rozpadającym się gratem! Na szczęście dużo mu do tego brakowało.

Usiadła obok ładnej dziewczyny o brązowych oczach. Okazało się, że także była Polką, a nazywała się Estera Czarna. Estera była bardzo ładna, to nie ulegało wątpliwości. Była właścicielką długich, brązowych włosów, zaplecionych w gruby warkocz po lewej stronie głowy. Miała duże, pogodne, lazurkowe oczy, kształtny nos oraz różane usta. Była ładnie opalona, ubrana w delikatną tunikę zdobioną motywami błękitnych kwiatów, białe legginsy długości trzy czwarte oraz również niebieskie sandały w kwiatowy wzór na niewysokich, bezowych koturnach.

Sonia Milewska była wysoką, smukłą piętnastolatką o długich, wycieniowanych ciemnoblonde włosach spływających na plecy łagodną falą. Cechowała ją piękna, słowiańska uroda i jasna karnacja. Jej zamysłone, duże, śliczne oczy, błyszczące niczym dwie gwiazdy na pogodnej, uroczej twarzy, były w kolorze zieleni, a otaczała je obwódka czarnych, długich rzęs. Miała kształtne malinowe usta i niewielki, zgrabny nos, a z częściowo zakrytych uszu tego dnia zwisały srebrne, długie kolczyki z kryształkami. Była ubrana w granatowe, przylegające spodnie sięgające trochę powyżej kolan oraz białą bluzkę w złote słoneczniki otoczone kilkoma liśćmi w żywym, zielonym kolorze.

Niemal od razu dziewczyny zaczęły ze sobą rozmawiać. Sonia zapytała wówczas, jak dawno Estera przyleciała do Kairu.

– Och, ja przyjechałam samochodem na miejsce zbiórki – wyjaśniła szatynka, ale widząc przerażone spojrzenie swojej rozmówczyni, dodała szybko, śmiejąc się: – Ale nie z Polski! Z centrum Kairu. Moi rodzice i tak jechali na lotnisko, więc mnie podzucili.

– Byliście na wakacjach w Egipcie? – zapytała wtedy zaciekawiona Sonia.

Estera wytłumaczyła, że jej rodzice są archeologami i była z nimi na wykopaliskach. Zostały one jednak nagle zamknięte, dlatego musieli wrócić do kraju.

– Podczas zeszłorocznych wakacji odkopywali piramidę na środku pustyni, świetnie zachowaną i nigdy nieobrabowaną – wspomniała Estera w zamyśleniu. – Zabrali mnie ze sobą. Było fantastycznie, widziałam prawdziwą mumię. Przeżyłam mnóstwo niesamowitych przygód z moim niezwykłym przyjacielem. Było cudownie! Jednak tylko do czasu... – Tu jej głos zadrżał, a Sonia spojrzała na nią, przekrzywiając głowę. Estera zakończyła cicho i jakby z goryczą: – Wcześniej nie wierzyłam, że jedna osoba może zepsuć dosłownie wszystko. Wtedy przekonałam się o tym bardzo dotkliwie.

Blondynka zerknęła wówczas na koleżankę niepewnie. Estera szybko przywołała na twarz swobodny uśmiech, po czym powiedziała:

– No, ale może pogadajmy o czymś innym. Na przykład o nim – wskazała brodą na sąsiada Soni, siedzącego po drugiej stronie wąskiego przejścia między siedzeniami. Blondynka również na niego spojrzała.

Ujrzała ładnego, wysokiego, szczupłego i dobrze zbudowanego chłopaka. Przypomniała sobie, że opiekunka mówiła, iż nazywa się Oliver Green. Miał on czarne oraz raczej krótkie włosy, niewyróżniający się niczym szczególnym nos, a także ładnie zarysowane usta, teraz zaciśnięte w wąską linię. Jego duże, wyraziste oczy miały kolor, jeśli dobrze kojarzyła, kasztanowy. Teraz spał, opierając głowę na szybie, za którą widać było zatłoczony Kair. Najwyraźniej nie przeszkadzało mu drżenie pojazdu ani słońce, świecące prosto na niego.

– Nawet nie zasłonił sobie firanki – zauważyła Estera drwiącym tonem, wpatrując się w Olivera z niechęcią. – Idiota jakiś, mówię ci.

Sonia spojrzała na nią zaskoczona. Z dalszych słów szatynki wynikało, że czuje do niego dziwną, bardzo mocną niechęć. Na dodatek, ku zdumieniu blondynki, pogardliwie mówiła o nim „blondaś”, choć Sonia widziała przecież, że miał czarne włosy! Jednak nie przejęła się tym zbyt. Uznała, że Estera mówi tak specjalnie. Choć gdyby zapytała innych, jakiego koloru są jego włosy, usłyszałyby

zgodną odpowiedź: „blond”. Na pewno zdumiałoby ją to, dlaczego ona widzi coś zupełnie innego i może odkryłaby coś bardzo dziwnego, ale... Ale nieszczęśliwie zwróciła na to uwagę i szybko zapomniała o temacie.

W końcu udało jej się wyciągnąć z koleżanki, dlaczego tak strasznie nie lubi kogoś, z kim nawet nie zamieniła słowa. I nie miała zamiaru, chyba że z konieczności. Okazało się, że bardzo przypominał jej kogoś, kogo znała. Kogoś, z kim miała związane bardzo przykre wspomnienia. Kogoś, przez kogo spotkało ją mnóstwo nieprzyjemności.

– Zresztą, nie tylko mnie, ale innych ludzi także – westchnęła niechętnie Estera. – Istny koszmar, taka znajomość. Aż wstyd się przyznać.

– Kto to był? – zapytała po chwili Sonia. – Powiesz mi o nim coś jeszcze?

– Po co? – Estera wyglądała na bardzo zdziwioną tą prośbą. Nie chciała zdradzić nic więcej, ale w końcu uległa prośbom koleżanki. – Ale pamiętaj, sama tego chciałaś!

Sonia zrobiła zdumioną minę.

– Na pewno o nim słyszałaś – oznajmiła Estera, dziwnie się uśmiechając, aż jej rozmówczyni przeszedł dreszcz po plecach. – To Briant de Ramen.

Blondynka zaskoczona wytrzeszczyła wtedy oczy, robiąc przerażoną minę, a Estera roześmiała się trochę upiornie, a przy tym bardzo głośno, aż gwałtownie obudzony Oliver podskoczył na swoim fotelu i obrzucił rozmawiające w niezrozumiałym dla niego języku dziewczyny potępiającym spojrzeniem.

– Znałaś go?! – wyjęczała Sonia. – Tego... tego... no, wiesz, kogo?!

– Tak, niestety. – Szatynka westchnęła z przygnębieniem, po czym zerknęła na blondynkę uważnie, mówiąc: – Tylko nie mów nikomu. Tobie mogłam powiedzieć, bo chciałaś, i wydaje mi się, że jesteś sensowną osobą, ale inni... Lepiej niech nie wiedzą. Chcę mieć przyjaciół na tym wyjeździe. A teraz przepraszam, ale jestem trochę zmęczona.

Estera z odrobinę ponurą miną odwróciła się plecami do towarzyszki, zamykając oczy oraz opierając głowę o oparcie fotela. Tymczasem wciąż zszokowana blondynka wpatrywała się w nią wielkimi oczami. Po głowie szalały jej gwałtowne, nieuporządkowane myśli.

Ona znała Brianta de Ramena! Biedna, musiała rzeczywiście przeżyć istny koszmar w czasie poprzednich wakacji, kiedy go spotkała! Aż dziw, że zachowuje się normalnie, a nie jak jakaś histeryczka. Po takich przeżyciach! Już sama świadomość, że się go znało, jest pewnie straszna. Sonia poważnie zastanawiała się, czy ona w ogóle dałaby radę tak funkcjonować.

Briant de Ramen. Jego nazwisko nie schodziło z pierwszych stron gazet już od trzech tygodni! Każdy czytał z przerażeniem o tym, co on zrobił. Zabił swoją najbliższą rodzinę, specjalnie wywołując pożar, potem próbował udawać, że to nie on, ale zdemaskowały go nagrania z kamer. Uciekł więc i ukrywał się tak świetnie, że nikt nie mógł trafić na jego ślad. Był całkowicie nieuchwytny. „Wariat”, mówili ludzie. Bardzo sprytny wariat, a także groźny morderca. Nikt nie mógł uwierzyć, że miał tylko piętnaście lat.

– Biedna Estera – wyszeptala wówczas strwożona Sonia, bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego. – Miała do czynienia z Briantem de Ramenem!

Wtedy ktoś lekko poruszył się po jej prawej stronie. Odruchowo tam zerknęła. To był ten czarnowłosy chłopak, Oliver, spoglądający na nią badawczo przymrużonymi kasztanowymi oczami, z kamienną twarzą. Szybko odwrócił wzrok, a Sonia poczuła się bardzo nieswojo.

W końcu, po trzygodzinnej jeździe przez pustynny, opustoszały rejon, busik gwałtownie skręcił w prawo i oczom Soni ukazało się miejsce, w którym miała spędzić najbliższe dziewięć dni, odgradzone od nieuczęszczanej, piaszczystej drogi wysokim, kamiennym murem oraz bramą składającą się z żelaznych prętów. Była otwarta na oścież, a przez całą jej szerokość przewieszono jaskrawopomarańczowy transparent, głoszący:

„Serdecznie witamy uczestników
międzynarodowego obozu dla młodzieży
NA PIASKACH EGIPSKIEJ PUSTYNI”.

Pierwszą rzeczą, jaką Sonia i jej towarzysze zauważyli po wjechaniu na rozległy, ogrodzony teren, był duży, dwupiętrowy budynek z wielkimi, lśniącymi oknami, w których, niczym w lustrze, odbijało się piękne, błękitne niebo, jaśniejące słońce oraz złote fale pustyni. Na jego jasnobrazowej elewacji wymalowano sporych rozmiarów palmę oraz zarys piramidy – zapewne logo obozu, jak pomyślała sobie Sonia. Budynek miał kształt zbliżony do litery L, której krótsze ramię znikало w głębi posesji, wśród grupy zielonych palm oraz pokrytych delikatnym kwieciami roślin.

Na lewo od głównego gmachu znajdował się drugi, większy obiekt, odgradzony od pierwszego pasem piaszczystej ziemi, urozmaiconym nielicznymi kępkami przesuszonej trawy oraz kamienistymi ścieżkami. Kształt tego beżowego, trzypiętrowego budynku można było porównać do kanciastej, grubej litery C. Od strony pustyni przez całą jego szerokość ciągnęły się odgradzone od siebie balkony, a w przypadku parteru – tarasy. Natomiast od strony wjazdu ściany urozmaicały jedynie proste, szerokie okna.

Za gmachem głównym znajdowały się trzy małe, prostokątne budyneczki, przypominające trochę białe pudełka po butach, także z racji tego, że miały tylko jedno, malutkie oraz wąskie okno, umieszczone na dodatek tuż pod płaskim dachem. Wejścia do nich broniły potężne drzwi na szyfrator oraz zamek magnetyczny.

Natomiast na prawo od głównego budynku, tuż przy wjeździe, zaczynał się całkiem spory, piaszczysty parking, na którym stało, między innymi, kilka busów podobnych do tego, którym przyjechała Sonia. Na dachu stojącego w głębi garażu królował duży, pomarańczowy helikopter z wymalowaną na boku palmą przy piramidzie, przyciągający wzrok zachwyconych nastolatków.

Za parkingiem znajdowało się ziemiste boisko, potem czerwony kort tenisowy, a na samym końcu spory basen, zabudowany oszklonymi ścianami, zapewne w ochronie przed pustynnym piaskiem.

Pomarańczowy busik wraz z przyklejonymi do szyb nastolatkami zaparkował przed wielkimi, przeszklonymi drzwiami wejściowymi budynku głównego, w których stał grubawy mężczyzna średniego wzrostu. Jego okrągłą twarz z wąskimi ustami, ciemnymi oczami oraz dużym nosem otaczała gęsta aureola kędzierzawych, krótkich i niemal czarnych włosów. Wyglądał na trochę ponad trzydzieści lat, a jego ciemnawa, śniada skóra sprawiła, że Sonia natychmiast pomyślała o Hiszpanii lub Portugalii. Mężczyzna miał na sobie jasny garnitur, żółty krawat oraz lekkie, kremowe buty.

Po chwili, gdy piętnastoosobowa grupka wypadła na skąpany w czerwonym blasku zachodzącego słońca, kamienny, półokrągły placyk znajdujący się przed samym wejściem, mężczyzna odchrząknął i przemówił. Leżąc na łożku, Sonia przypomniała sobie jego słowa.

– Witajcie! Nazywam się Juan Mandara i jestem właścicielem tego uroczonego miejsca! Tak, to dzięki mnie tutaj jesteście, gdyż to ja jestem organizatorem obozu, na który przyjechaliście! Bardzo się cieszę, widząc kolejną grupkę obiecująco wyglądających młodych ludzi, pragnących osiągnąć coś w życiu! Ja wam w tym pomogę, odsłonię przed wami tajemnice starożytnego Egiptu, a szczególnie jego... bogów! Tak, bogów, fantastycznie, prawda? – Mężczyzna uśmiechnął się promiennie i objął całą wymęczoną podróżą grupę radosnym wzrokiem, a następnie, gdy zamiast okrzyków zachwytu otrzymał tylko kilka zmęczonych spojrzeń, dodał z nieco mniejszym entuzjazmem, opuszczając ręce. – Cóż... Widzę, że mieliście dziś naprawdę męczący dzień... To w takim razie mowy powitalnej wysłuchacie tylko raz, a konkretnie jutro po śniadaniu, gdy uczestnicy obozu będą już w komplecie. A teraz musicie wiedzieć tylko jedno: wszyscy jesteście jedną grupą i będziecie razem mieć zajęcia! Razem mieszkać, razem się trzymać! Poza tym wszystko, co musicie wiedzieć, przekaże wam mój asystent, który zaraz do was przyjdzie... Miłego pobytu, do zobaczenia na kolacji!

Pan Mandara zniknął za przeszklonymi drzwiami, a następnie prędko odszedł gdzieś w głąb budynku, zostawiając na zewnątrz zdumioną oraz zmęczoną grupę.

– Eee... To co teraz? – zapytał niepewnym, piskliwym głosem jeden z obozowiczów, któremu blond grzywka opadała prawie do końca nosa, całkowicie zasłaniając oczy. Stał tuż obok swojego brata bliźniaka, niczym się od niego nieróżniącego. Obaj uśmiechali się szeroko.

Pytając, chłopak równocześnie rozejrzał się dookoła, o czym świadczyły tylko ruchy jego głowy. Sonia mogła sobie wyobrazić, że miał zdziwione spojrzenie, czego nie mogła jednak sprawdzić z powodu jego fryzury.

Zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, rozległ się gruby głos kierowcy:

– Bagaze wypakowane, możecie je sobie wziąć.

I w momencie, w którym wszystkie twarze, nawet plotkującej wcześniej zawziętej grupki dziewczyn, zwróciły się w jego stronę, mężczyzna wsiadł do pojazdu, mrużąc pod nosem beznamiętne „do widzenia”, z piskiem opon zaparkował nieopodal, obok innych, podobnych busów, a potem wysiadł oraz prędko odszedł w głąb działki i zniknął im z oczu.

– Cóż za niezwykle wylewne, przyjazne pożegnanie – prychnęła wtedy któraś z dziewczyn. – Niby jak teraz nasze bagaże znajdują się w naszych pokojach? Chyba nie mamy ich wynieść?

– A czemu nie? – zapytał blondyn z kolczykiem w nosie, zerkając na nią niechętnie.

– No wiesz... Mogłabym się przeciążyć... Albo, co by było wprost okropne, złamać paznokieć! Lub dostać odcisków!

Wszyscy chłopcy, których było sześciu, jak na zawołanie wywrócili oczami, a sześć dziewcząt w tym samym momencie zrobiło współczujące lub przerażone miny. Tylko Sonia i Estera powstrzymały się od bardzo widocznej reakcji na to oświadczenie, zadowolając się rzuceniem sobie szybkich, rozbawionych spojrzeń.

Nagle od strony budynku ktoś głośno, a także bardzo teatralnie odkaslnął, więc wszystkie głowy zwróciły się tym razem ku niemu. W drzwiach wejściowych stał wysoki, chudy Arab o nieprzenikniomym wyrazie twarzy, z ciemnymi, przeciwsłonecznymi okularami na długim nosie.

Odezwał się dopiero po chwili, mówiąc dostojnie:

– Witam was wszystkich. Jestem tu, by zapoznać was z tym miejscem, a także z rozkładem dnia, który właściwie obowiązuje was już od dzisiejszego wieczoru. A teraz, proszę za mną.

Mężczyzna odwrócił się w stronę wnętrza budynku, w którego wejściu stał, a potem rzucił, nie oglądając się za siebie:

– Po walizki wrócimy później! Proszę je zostawić.

I wszedł do środka, a rudowłosa dziewczyna spojrzała dookoła nieufnie, ściskając swoją wielką, czarną, wygrzebaną przed chwilą ze ster ty innych walizkę, jakby obawiała się, że za marnymi krzakami czają się tłumy złodziei, tylko czekających na to, aż sobie pójdzie, by ją ukraść. W końcu jednak chyba nikogo podejrzanego nie zauważyła, gdyż położyła swój bagaż delikatnie na ziemi, a potem błyskawicznie dogoniła resztę grupy, która zniknęła już w głębi nowoczesnego budynku.

Sonia dowiedziała się, że znajdują się w nim między innymi: jadalnia, rozległy salon wspólny, coś w rodzaju sali konferencyjnej ze specjalnym podium do przemówień oraz jeszcze kilka innych pomieszczeń.

Arab pokazał im jadalnię i poinformował o godzinach posiłków. Potem wskazał im resztę sal, a następnie wszyscy skierowali swe kroki w stronę basenu, w którym pływało sobie beztrosko kilkanaście osób, śmiejąc się radośnie.

Gdy bez słowa mijali trzy białe, niewielkie budynki, chłopcy rzucaли w ich stronę zaciekawione spojrzenia. Oliver, stale trzymający się na samym końcu grupy, zapytał w końcu, co w nich jest. Oprowadzający ich mężczyzna odpowiedział, że są to prywatne pomieszczenia pana Mandary, zamknięte dla przyjeżdżających obozowiczów, czym jednak nie zaspokoił ciekawości niektórych chłopców, już obmyślających, jak by tu dostać się do środka.

Po obejrzeniu basenu, kortu oraz boiska, a także po wysłuchaniu przy każdym z nich nudnych zasad dotyczących ich użytkowania, skierowali się z powrotem do głównego budynku, przy którym na ziemi leżały ich walizki. Kiedy wszyscy się tam zebrali, Arab machnął ręką w stronę beżowego obiektu, w którym jeszcze nie byli, oraz powiedział ze znudzonym wyrazem twarzy:

– Tam będziecie mieszkać. Pokoje są trzyosobowe, więc macie pięć minut, by się jakoś dobrać w obrębie waszej grupy. Ja zaraz wrócę i zapiszę, jak się podzieliliście.

Mężczyzna zniknął w głębi budynku, zostawiając ich samych.

Sonia postanowiła zamieszkać z Esterą, ale musiała do nich dołączyć jeszcze jedna osoba.

– Właśnie obradują, która u nas wyląduje. – Estera z dość niewielkim entuzjazmem wskazała na zawzięcie kłócącą się grupkę dziewczyn.

– Albo wszystkie chcą być z nami, więc nie mogą się dogadać – stwierdziła wtedy Sonia, uśmiechając się szeroko.

– Na pewno – prychnęła Estera, a potem z rozbawieniem zaczęła oglądać coraz bardziej gwałtowną kłótnię, która przekształcała się właśnie w jedno wielkie przepychanie.

W końcu pewna farbowana blondynka została wypchnięta z kółka, aż wywróciła się na ziemię. Natychmiast wstała, tupnęła nogą, pokazała śmiejącym się z niej koleżankom język i obrażona stanęła do nich tyłem, dumnie unosząc głowę.

– No to już wiemy, która będzie z nami mieszkać – mruknęła cicho Sonia, a stojąca obok niej Estera tylko pokiwała głową.

Pokoje ich grupy mieściły się głównie na trzecim piętrze, z pewnym wyjątkiem. Jedna trójka miała mieszkać na drugim.

– Jakieś pytania? – zapytał na koniec Arab, gdy już wyjaśnił, gdzie mieszczą się ich pokoje.

– Co z bagażami? – zadała pytanie rudowłosa dziewczyna, która wcześniej tak bardzo obawiała się o bezpieczeństwo swoich.

– Sami musicie wnieść sobie walizki, jeśli o to ci chodzi – odparł zdziwiony mężczyzna.

Dziewczyna jęknęła z rozpaczą, a jakaś inna zapytała zdławionym głosem:

– Jest chociaż winda?

– Nie, nie ma. To przecież tylko trzy piętra. – Arab wzruszył ramionami i dodał szybko, gdy kilka dziewcząt spojrzało na niego błagalnie oraz otworzyło usta, by go o coś poprosić: – Chętnie bym wam pomógł, ale niestety mam mnóstwo rzeczy do pilnowania, więc wy-

baczcie, lecz tego nie zrobię. A teraz – miłego wieczoru, mam nadzieję, że spodobają się wam pokoje, i do kolacji!

Prędko zniknął w głębi budynku, nie oglądając się za siebie, a Sonia z Esterą natychmiast wzięły swoje bagaże oraz udały się w stronę bloku mieszkalnego, by zająć sobie któryś z pokoi na trzecim piętrze.



Rozdział drugi

WIECZOREM

Sonia obróciła się na drugi bok. Zupełnie nie mogła zasnąć. Westchnęła i wróciła myślami do momentu, gdy biorąc swoje torby, ze zdumieniem zerknęły na bagaże pozostałych dziewczyn, które składały się co najmniej z dwóch wielkich waliz oraz z kilku mniejszych, które były jednak prawie tak duże, jak ta Soni.

– Ciekawe, jak one to wniosą – zdziwiła się wówczas Estera.

– Raczej ciekawe, jak one to zmieszczą w pokoju – poprawiła ją blondynka.

– Prawda. – Jej koleżanka uśmiechnęła się, a po chwili dodała z rozbawieniem: – Och, chyba już wiem, jak je przetransportują do swoich pokoi. Sama zobaczysz.

Sonia odwróciła się w ich stronę, akurat, by ujrzeć, jak wszystkie dziewczyny uśmiechają się przymilnie i rozmawiają z chłopakami, chcąc ich naciągnąć na bycie tragarzami. Obie obserwatorki wybuchły nagle śmiechem, gdy Oliver obrzucił otaczające go, trzepoczące rzęsami dziewczęta niechętnym spojrzeniem, powiedział coś z kpiącym uśmiechem na twarzy, a potem odszedł dumnie w stronę wszystkich bagaży, zostawiając je za sobą zamarłe, z wyrazem całkowitego zaskoczenia oraz niedowierzania na twarzach.

Wciąż chichocząc, dwie koleżanki weszły w końcu do środka budynku przez wejście w jednej z dwóch wysuniętych do przodu części.

Stały na lśniącej podłodze z dużych, czekoladowych płytek, które odbijały sufit oraz ściany niczym wielkie, ciemne lustro. Dziewczęta z zaciekawieniem rozglądnęły się dookoła.

Stały przy szerokiej, szklanej klatce schodowej, usytuowanej w samym centrum przejścia. Po jej lewej stronie ciągnął się ślepy, pusty korytarzyk, graniczący z jednym z pokoi. Był on zakończony wielkim oknem, przez które wpadały do środka oślepiające promienie słońca, rozjaśniając nieco czekoladę podłogi. Jeśli przeszło się obok spirali schodów, trafiało się na właściwy, szeroki oraz długi korytarz, prowadzący do pokoi. Jego ściany miały kolor kawy z dużą ilością mleka. Zostały ozdobione srebrnymi, prostymi kinkietami oraz kolorowymi, bardzo nowoczesnymi i niezwykle brzydkimi obrazami. W biały sufit zostały wkomponowane lampy stanowiące komplet z kinkietami.

Na parterze znajdowało się kilka pokoi należących do kadry obozowej, stanowisko gospodyni, która zajmowała się także kwestią czystości, oraz wielki apartament kierownika, czyli pana Mandary.

Po rozejrzeniu się po czekoladowym, lśniącym holu wejściowym, Sonia i Estera wyniosły swoje walizki na trzecie piętro, które na pierwszy rzut oka niczym nie różniło się od pozostałych kondygnacji. Ten sam kawowy kolor, te same brązowe płytki, te same nieładne obrazy na ścianach.

Obie dziewczyny podeszły do najbliższych, ciemnobrązowych drzwi oraz spojrzały na umieszczony na nich lśniący, srebrny numer.

– Numer trzysta osiem – zauważyła Sonia. – My mamy pokoje od trzysta jeden do trzysta cztery. Nasz musi więc być gdzieś po drugiej stronie.

Obróciły się w prawo. Nagle, dokładnie na drugim końcu długiego korytarza pojawiła się cała reszta ich grupy, taszcząca gigantyczny stos bagaży.

– Szybko! – zawołała Estera. – Bo wylądujemy na dole!

Obie puściły się biegiem w momencie, w którym inni zrobili to samo. Kółka walizek terkotały ogłuszająco na płytkowej posadzce. Siedmioosobowa grupka dziewczyn, niosąca tylko swoje torebki, natychmiast zajęła dwa najbliższe im pokoje. Do pomieszczenia obok błyskawicznie wpadli trzej chłopcy, bezceremonialnie porzucając na korytarzu kilka różowych, zdecydowanie nienależących do nich bagaży.

Wolna zastała jeszcze trzysta czwórka i oczywiście dwieście jedynka. W stronę tej pierwszej oprócz Soni i Estery, które zostały opuszczone przez farbowaną blondynkę, biegli jeszcze dwaj jasnowłosi bracia, dźwigający stos walizek w kwiatki, również pozostawieni bez wsparcia przez swojego kolegę. Ten ostatni dopiero teraz pojawił się na korytarzu, z wielkim plecakiem na ramieniu, nie spiesząc się ani trochę oraz rozglądając się dookoła z zaciekawieniem.

Z powodu tego, że chłopcy taszczyli tyle ciężkich toreb, dwie dziewczyny biegły od nich szybciej i dopadły drzwi z numerem trzysta cztery jako pierwsze. Zrobiły to dosłownie sekundę przed braćmi, którzy, widząc to, wyhamowali z trudem, piszcząc gumowymi podszwami, jęknęli z niezadowoleniem, a następnie ze złością puścili na ziemię wszystkie nieswoje bagaże.

– To nasz pokój! – huknął jeden blondyn grubym głosem.

– Idźcie sobie gdzie indziej! – dodał piskliwie drugi. – To my tu chcemy mieszkać!

– My też – zauważyła Estera.

– A byliśmy pierwsze – dorzuciła Sonia.

– Możecie się z nami zamienić – powiedział jeden z braci z nadzieją w głosie.

– Nie.

– Na pewno? Na dole jest fajniej – kusił drugi.

– To się cieszcie. Zostawiamy wam lepszy pokój. – Estera się uśmiechnęła.

– Ale my możemy się zamienić. Żebyście wy miały fajniej – ofiarował się brat o grubym głosie.

– Nie trzeba. Jakoś damy radę i zadowolimy się tym. No wiecie, nie chciałybyśmy odbierać wam lepszego pokoju.

– Nie żądamy od was aż takiego poświęcenia – dodała Sonia, a widząc, że blondyni chcą coś powiedzieć, dorzuciła szybko: – I nie zmienimy zdania.

– Ale możecie spróbować dogadać się z nimi. – Szatynka wskazała na drzwi z numerem 303. – Może się uda.

Bracia mruknęli coś pod nosem i z naburmuszonymi minami weszli do pokoju obok, skąd natychmiast dało się słyszeć powiedziane przez nich głośno: „To nasz pokój! Wynocha!” oraz gwałtowne klótnie.

W tym samym czasie zadowolona Sonia otworzyła drzwi trzysta cztery magnetycznym kluczem i razem z Esterą weszły do środka jasnozielonego pomieszczenia.

Rozglądały się dookoła z niedowierzaniem. Pokój był ogromny w porównaniu z typowymi obozowymi pomieszczeniami. Jedną z jego ścian zajmowało wielkie okno ze śnieżnobiałymi, zwiewnymi firankami oraz wyjściem na balkon. Widać przez nie było panoramę złotej Sahary, poprzecinaną wstęgami piaszczystych wydm, rzucających pofalowane cienie. Przekraczając próg pokoju, stawało się jakby w niedużym, przytulnym przedpokoju z dużym lustrem oraz wieszakami na ścianie. Na prawo od wejścia znajdowały się drzwi do jasnej łazienki, wyłożonej zielonymi płytkami. Przedpokój płynnie zamieniał się w przestronny salon-sypialnię, po którego lewej stronie, tej bliżej wejścia, ustawiono niewysoki, drewniany stolik ze szklanym, lśniąącym blatem, nakrytym ręcznie robioną matą, na której stał smukły wazon z bukietem pozornie prawdziwych kwiatów. Obok stolika, przy ścianie, znajdowała się miękka, kawowa sofa, a naprzeciwko niej dwa równie wygodne fotele do kompletu. Po dwóch stronach sofy umieszczono drewniane, eleganckie oraz zgrabne biblioteczki, tylko w niewielkiej części wypełnione książkami.

Na przeciwległym końcu pokoju ustawiono równoległe do siebie trzy proste łóżka, stykające się ze ścianą drewnianymi wezglówkami. Przy każdym stała stylowo dobrana szafka, a na niej nowoczesna lampka, stanowiąca komplet z dużą, wiszącą na suficie lampą, budzik oraz kilka kamiennych figurek. Niemal cała ściana odgradzająca salon-sypialnię od łazienki była zasłonięta wielką, pojemną szafą.

Na ścianach wisiało kilka obrazów, przedstawiających, co Sonia stwierdziła po bardzo długiej analizie, prawdopodobnie burzę piaskową w centrum kolorowego miasta. Choć tak właściwie mogły przedstawiać dosłownie wszystko.

Całość przestronnego, nasłonecznionego oraz niezwykle przytulnego pomieszczenia była utrzymana w ciepłych kolorach zieleni oraz brązu, włącznie z puszystym, beżowym dywanem na podłodze.

Sonia, cały czas rozglądając się dookoła wielkimi oczami, położyła na miękkim dywanie swoją walizkę, podeszła do sofy i opadła na nią z westchnieniem, natychmiast zagłębiając się na kilka centymetrów.

– Tu jest cudownie. – Sonia uśmiechnęła się radośnie do Estery.
– Jeszcze nigdy na obozie nie miałam takiego pokoju!

– Ja też nie. – Jej koleżanka oparła swój bagaż o ścianę, a następnie skierowała swe kroki w stronę wyjścia na balkon, porzucając po drodze na fotelu swój wypchany plecak.

Po chwili otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz.

– Musisz to zobaczyć! – zawołała z zachwytem. – Widok jest wprost niesamowity!

Sonia trochę niechętnie opuściła wygodną sofę, a następnie również wyszła na wyłożony beżowymi płytkami balkon, mający szerokość całego ich pokoju, a długość około trzech metrów. Na nagrzanym słońcem posadzce został ustawiony drewniany stolik, złożony parasol oraz trzy rozkładane leżaki.

Spojrzała za należącą jeszcze do ośrodka, piaszczystą przestrzeń, urozmaiconą kilkoma marnymi, nawet nie zielonymi, lecz brązowymi krzakami. I natychmiast przyznała Esterze rację. Widok rozciągający się przed nimi dosłownie zapierał dech w piersiach, był przepiękny, niemal nie do opisania. Sięgające aż za horyzont morze złocistego piasku, z zawijasami wzorzystych wydm, ich niezwykłym ułożeniem oraz cieniami o niesamowitych kształtach, w które można się było wpatrywać godzinami, nie znudzwszy się ani odrobinę, bez przerwy wynajdując nowe formy, kryjące się w tym podobno monotonnym oraz jednolitym pustynnym oceanie, było jedną z najwspanialszych rzeczy, jaką kiedykolwiek widziała. Pomimo tej obfitości piaszczystych wzniesień i ich cieni, krajobraz, jaki się przed nimi rozpościerał, był niezwykle spokojny, pełen harmonii, jakby świętości, lecz również potężny oraz groźny. Patrząc na niego, podświadomie wyczuwało się, że w jednym momencie może zamienić się w niszczącą wszystko na swej drodze burzę piaskową. Jednak, widząc całe piękno tego suchego morza, ciężko było sobie wyobrazić jego drugą, bardziej mroczną stronę. Było przecież takie zjawiskowe... takie pozornie spokojne... takie niesamowite oraz tajemnicze. Po prostu najbardziej niezwykle oraz zapadające w pamięć miejsce na świecie.

– Nie wiedziałam, że pustynia może być taka cudowna – szepnęła Sonia.

– Ja też nie...

Na dłuższą chwilę zapadła między nimi cisza. Pierwsza przerwała ją Estera, wzdychając z rozmarzeniem:

– To zdecydowanie jeden z najbardziej niesamowitych widoków, jakie w życiu widziałam.

– Aż trudno mi w to teraz uwierzyć, ale jak jechaliśmy, nie wyglądała tak wspaniale – dodała jej koleżanka zamyślnym tonem. – Tylko nudno i sucho...

– Możliwe, że dlatego, że obecnie jesteśmy wyżej niż wcześniej... I nie patrzymy przez szybę.

– Może... – Sonia wzruszyła ramionami, a potem dodała: – Mam ochotę podziwiać ją już zawsze...

– Zróbmy zdjęcie! – Estera ożywiła się nagle i wbiegła z powrotem do pokoju.

Wróciła bardzo szybko z czarnym, profesjonalnym aparatem w dłoni. Natychmiast zaczęła pstrykać mnóstwo zdjęć. Gdy skończyła, zerknęła na ekranik, przeglądając uwiecznione przed chwilą widoki, a następnie westchnęła:

– Nie są tak piękne jak oryginał... Ale to niemożliwe, by go uwiecznić na czymś tak małym... No i w rzeczywistości wygląda zupełnie inaczej.

– Pokaż. – Sonia wyjęła z rąk koleżanki aparat i spojrzała na ekran. Rzuciła Esterze zdziwione spojrzenie, a następnie powiedziała z zachwytem: – No, co ty! Przecież one są cudowne! Jeszcze nigdy nie widziałam takich pięknych fotografii, naprawdę!

– Dziękuję. – Szatynka zarumieniła się lekko. – Bardzo lubię robić zdjęcia. Zawsze, jak...

Jednak nie dane jej było dokończyć, gdyż nagle ktoś bardzo głośno i bardzo natarczywie zaczął dobijać się do drzwi wejściowych, wrzeszcząc coś, czego jednak nie dało się zrozumieć.

– Kto to może być? – zdziwiła się Sonia, odwracając twarz od puystyni.

– Nie wiem – odparła jej koleżanka. – Ale lepiej otworzę.

Estera szybko podeszła do drzwi, a Sonia weszła za nią do środka. Po chwili do pokoju wpadła farbowana blondynka, rzucając dookoła

niezbyt przyjazne spojrzenia i równocześnie odpychając na bok Esterę, która obija się o ścianę.

– Co robiliście? Czemu musiałam tak długo czekać? – wykrzyknęła z oburzeniem po angielsku, a następnie zmrużyła podejrzliwie oczy, mówiąc: – Obgadywałyście, tak? Kogo, mnie?

– Eee... – Estera rzuciła zaskoczonej Soni zdumione spojrzenie. – Szczerze mówiąc, nie...

– Nie? – prychnęła dziewczyna z lekceważeniem. – To przecież oczywiste, że musiałyście kogoś obgadywać. W przeciwnym razie natychmiast byście mi otworzyły. No, więc o kim mówiliście? Chętnie posłucham i dodam coś od siebie.

Farbowana blondynka rozsiadła się na sofie, a następnie, czekając na relację, obrzuciła dwie koleżanki władcym spojrzeniem swoich dużych, czarnych oczu. Coś w jej wyglądzie oraz zachowaniu sprawiało, że Sonia nie czuła się dobrze w jej towarzystwie. Na dodatek tak bardzo przypominała rybę... Jej rysy twarzy, wydatne usta... A także coś w wyrazie oczu. Sonia pomyślała, że gdyby dziewczyna chciała ubrać się na bal przebierańców za jakiegoś morskiego stworza, to jej strój naprawdę nie musiałby być wyszukany. Wystarczyłaby lśniąca sukienka. I już. Ryba gotowa.

– Nikogo nie obgadywałyśmy – powtórzyła ze zdziwieniem Estera.

Farbowana blondynka tylko spojrzała na nią długo, unosząc brwi oraz prychnąc z niedowierzaniem. Na jej twarzy odbiło się coś w stylu pobłażliwości zabarwionej poczuciem wyższości. Jakby wiedziała wszystko lepiej od innych. Sonia zacisnęła pięści. Nie znosiła takiego zachowania! Dlatego też dorzuciła, mrużąc niechętnie jasne oczy:

– Mamy po prostu lepsze rzeczy do robienia i omawiania, ale może osoby takie jak ty są za głupie, by to zrozumieć.

Farbowana blondynka otworzyła usta z niedowierzaniem i wytrzeszczyła oczy, i teraz jeszcze bardziej wyglądała jak wielka, bardzo brzydka ryba, a Sonia usiadła na fotelu, nie patrząc na nią, lecz gdzieś za okno. Estera również usiadła na drugim fotelu, a potem oznajmiła:

– Podziwialiśmy widoki z balkonu, są naprawdę piękne. Może też chcesz je zobaczyć?

– Nie. Co może być ładnego w pustyni? Nic, to tylko piach i brud – odparła lekceważąco farbowana blondynka, wreszcie zamykając usta i prawie tracąc okropny wygląd ryby.

Estera stłumiła westchnienie, a następnie powiedziała miłym głosem:

– Jestem Estera, a ty?

– Amanda Pescador – odpowiedziała dumnie dziewczyna.

– Och, jesteś z Hiszpanii, tak? – Szatynka wyglądała na autentycznie zaniepokojoną.

– Nie.

– Nie? To skąd?

– Z Portugalii.

– Aha. To fajnie. – Estera pokiwała głową, nie bardzo wiedząc, jak dłużej podtrzymywać rozmowę.

Zapadła dość niezręczna cisza.

W końcu Amanda prychnęła, że jej współlokatorki są nudne oraz że ona wyniesie się do kogoś innego, bo z nudów zaraz pęknie, a następnie wyszła.

Sonia wymieniła z koleżanką zdumione spojrzenia. Nie za bardzo wierzyły, że się wyprowadzi, lecz postanowiły tego nie komentować. Ale Amanda zabrała swoje rzeczy jeszcze tego samego wieczora.

Jakiś czas później, po rozgoszczeniu się w pokoju, udały się na kolację.

Weszły do sali jadalnej, utrzymanej w brązach i żółciach. Naprzeciwko wejścia znajdowała się oszklona ściana z widokiem na kort oraz boisko. Na lewo od wejścia stały w szerokim okręgu stoły nakryte białymi obrusami, na których położono napełnione jedzeniem półmiski, talerze oraz patery. Dodatkowo na mniejszym stole przy ścianie ustawiono najróżniejsze napoje, a tuż obok bogaty wybór pieczywa. Na prawo od wejścia znajdowało się sześć ustawionych nieregularnie okrągłych stołów, nakrytych obrusami w kolorze śniegu, z dodatkami, czyli między innymi serwetkami, w kolorze piasku oraz dekoracjami z bukietów ususzonych kwiatów.

Po wejściu na salę obie dziewczyny ze zdumieniem rozglądnęły się dookoła, zauważając, że przy szwedzkim stole kręcą się tylko trzy nieznane im osoby.

– Na pewno przyszliśmy o dobrej porze? – wyszeptała Sonia niepewnie, zerkając na swój zegarek.

– Chyba tak. Kolacja miała być przecież o wpół do ósmej. Inni pewnie się spóźnią.

Blondynka rozejrzała się dookoła, czując się trochę niepewnie. Estera wzruszyła ramionami i zapytała, wskazując na sześć okrągłych stołów:

– Gdzie siadamy?

– Nie wiem. Myślisz, że miejsca są jakoś specjalnie rozdzielone?

– Nie sądzę. Jeżeli już, to może każda grupa ma swój stół.

– Jaka grupa? – zapytała zdezorientowana Sonia, tłumiąc ziewnięcie.

– No... Ten asystent czy ktoś tam mówił prze... – zaczęła Estera, ale przerwał jej trochę, a raczej bardzo zirytowany głos, odzywający się po angielsku zza ich pleców:

– Co tak stoicie? Ruszcie się, tamujecie przejście.

Obie koleżanki odwróciły się jak na komendę i ujrzały Olivera, spoglądającego na nie nieprzyjaźnie. Soni wydawało się również, że mruknął pod nosem coś w stylu „głupie baby”, ale nie była tego do końca pewna.

– Przecież masz wystarczająco dużo miejsca, by przejść. – Estera zmarszczyła brwi, zerkając w obie strony. – Drzwi, jakbyś nie zauważył, są szerokie, a my nie jesteśmy grube.

Oliver tylko spojrział na nią z wyższością.

– Nie będę się przeciskał bokiem, bo wam nie chce się ruszyć.

– Jest tyle miejsca, że nie musisz się przepychać – zauważyła szatynka.

– Chyba, że jesteś gruby – dodała Sonia, ale natychmiast tego pożałowała, gdyż chłopak zmroził ją wrogim spojrzeniem lekko przy-mrużonych oczu.

– Nie jestem gruby, jakbyś nie zauważyła, ty...

Na szczęście w tym momencie obok Olivera pojawili się bliźniacy z wielkimi zębami, szczerząc się radośnie i przerywając koledze.

– Ale jestem głodny – chrząknął jeden z nich, kiwając energicznie głową.

– Ja też – pisnął drugi, a następnie chwycił Olivera za ramię i wrzasnął w jego stronę, jakby dzieliły ich kilometry. – Hej, brachu, czy ty też jesteś głodny?!

– Nie jestem twoim brachem – warknął chłopak, odchylając się jak najdalej od niego oraz strzepując jego rękę. – I już ci mówiłem, że nie mam zamiaru z tobą rozmawiać.

– Ups – pisnął bliźniak i odbiegł w stronę szwedzkiego stołu.

Drugi pobiegł tuż za nim, najpierw jednak poprosił, żeby wybaczyć jego bratu, gdyż grzywki zasłaniają im całe otoczenie, więc nic nie widzą, a co za tym idzie, często myślą ludzi. Oliver odprowadził ich obu niechętnym spojrzeniem, z odrazą wymalowaną na twarzy, a dwie dziewczyny prędko od niego odeszły, bardzo starając się stłumić chichot.

Skierowały się w stronę szwedzkiego stołu, cały czas zerkając dookoła, by zaobserwować, gdzie usiądą ich koledzy, jednak oni również najpierw skierowali się po jedzenie. Bracia natychmiast rzucili się na półmisek z gorącym bekonem, a Oliver rozpoczął obchód w poszukiwaniu czegoś dla siebie, odpychając tych, którzy stanęli mu na drodze lub, co gorsza, formowali się w małą kolejkę przy czymś, co go zainteresowało.

Nastolatków bowiem przybywało z każdą chwilą. Wkrótce zajęli trzy z sześciu stołów, śmiejąc się i hałasując. Sonia spoglądała na nich ciekawie, zastanawiając się, jacy są, skąd pochodzą oraz jak wygląda ich życie tam, gdzie mieszkają. Widziała krążących po sali przedstawicieli całej Europy, od czarnowłosych, o ciemniejszym odcieniu skóry nastolatków z południa, po jasnowłosych, bladych z północy. Rozmawiali między sobą po angielsku, ale było słychać również gwar najróżniejszych, rodzimych języków.

Sonia czuła się bardzo szczególnie, przebywając pośród nich wszystkich. Było to dla niej całkowicie nowe doświadczenie. Bardzo cieszyła się, że przyjechała na ten obóz. Była pewna, że będzie się dobrze bawić. Zapowiadało się przecież ciekawie.

Nawet nie podejrzewała, jak ciekawie.

– Idziemy usiąść? – zapytała nagle Estera, zjawiając się obok Soni.

– Tak, jasne – odparła, zerkając w stronę stołów.

Przy jednym z nich siedział samotnie Oliver i z kamienną twarzą smarował sobie chleb grubą warstwą dżemu. Wyglądało to dość dziwnie, szczególnie, że przy pozostałych stolikach wszyscy się śmiali oraz żartowali.

– Taa... nasza grupa już teraz jest... inna – westchnęła z rezygnacją Estera, a następnie obie udały się w stronę Olivera i jego stolika.

Gdy położyły swoje tacki na miejscach jak najdalej od chłopaka, ten odłożył kanapkę na talerz oraz spojrzął na nie niechętnie, krzywiąc się lekko.

– Możemy się dosiąść? – zapytała Estera, uśmiechając się szeroko. Sonia od razu przywołała na twarz taki sam uśmiech.

– A niby po co usiadłem sam...? – prychnął i wywrócił oczami. – Idźcie sobie gdzie indziej.

– Mielśmy siedzieć w grupach – przypomniała mu szatynka, a następnie, zupełnie nie zwracając uwagi na jego straszliwe spojrzenie, spokojnie usiadła przy stole.

Sonia zerknęła na Olivera, który wyglądał, jakby miał zamiar zaraz wybuchnąć, a następnie zajęła miejsce obok koleżanki. Chłopak miał właśnie wygłosić jakiś komentarz, kiedy nagle po obu jego stronach trzasnęły talerze i odezwał się wrzaskliwy chórek:

– Wreszcie cię znaleźliśmy, brachu! Ale pyszna kolacja, co? Mniam, mniam! Lubimy bekon, a ty?

– Nie cierpię – warknął, rzucając dwóm Anglikom jeszcze straszliwsze spojrzenie. Jeden brat zajął miejsce po jego lewej stronie, drugi po prawej. – I ile razy mam wam jeszcze powtarzać, że nie jestem waszym brachem!

– Ho, ho! Ma poczucie humoru, co? Bekon jest pyszny! Ale mama nigdy nie pozwala nam go jeść, bo jest wegetarianką i uważa, że zamiast bekonu powinniśmy raczej jeść brokuły – chrząknął jeden blondyn, szczerząc się radośnie oraz nabijając na widelec mnóstwo zawartości swojego talerza. Całkowicie zignorował także drugą część wypowiedzi kolegi, co ten oczywiście zauważył, a skwitował wywróceniem oczu.

– Właśnie! A zielenina jest obrzydliwa – dodał drugi, spoglądając z niesmakiem na sałatkę w naczyniu Soni, która zmarszczyła lekko brwi na ten komentarz, ale nie odezwała się ani słowem.

Za to Oliver mruknął pod nosem coś o tłustym bekonie i z krzywą miną sięgnął po swoją kanapkę, rzucając niechętnie spojrzenia na braci oraz ich przepełnione talerze.

– Mama też zabrania nam jeść kisiel, bo mówi, że jest tuczący, sztuczny, a także niezdrowy. No i że to sama chemia. Ona promuje zdrową, naturalną żywność – kontynuował tymczasem jeden z braci ze smutną miną. – A on jest taki dobry!

– Naprawdę? – zdziwiła się Estera. – I nigdy nie jedliście w domu kisielu?

– Tylko raz, kiedy mama miała wyjechać na trzy dni. Niestety, okazało się, że odwołali jej klubowy wyjazd, więc musiała wrócić. Wyszła do domu akurat wtedy, kiedy powoli kończyliśmy jeść...

– Zrobiła straszną awanturę – dodał drugi blondyn z ponurą miną.

– Od tamtego zdarzenia kisiel jemy tylko na wyjazdach szkolnych oraz wakacyjnych, gdy możemy być pewni, że nas nagle nie odwiedzi. Szkoda, że taką okazję mamy tylko dwa razy na rok – zakończył Anglik z żalnym westchnieniem, po czym po kilku sekundach ciszy rozpogodził się nagle i krzyknął radośnie, wymachując rękami: – Hura! Dziś nareszcie zjemy kisiel! Czekaliśmy na to pół roku!

– Tu nie podają kisielu ani tym bardziej go nie sprzedają, jakbyś nie zauważył – powiedział Oliver. – Niby skąd chcesz go wziąć?

– Nie martw się, wzięliśmy zapasy!

– Gromadziliśmy je w tajemnicy przez sześć miesięcy. Dużo się uzbierało!

Dwie dziewczyny i chłopak spojrzeli na braci ze zdumieniem, a w przypadku tych pierwszych także z rozbawieniem.

– Gdzie trzymaliście kisiele przez ten cały czas? – zapytała Sonia.

– Pod materacami.

– A nie zepsuły się przez te miesiące? – odezwał się Oliver, unosząc brwi.

– Chyba nie – odpowiedział jeden z braci z niepewną miną.

– Co nie? – Dziewczęcy głos odezwał się nagle, a sekundę później do stołu przysiadła się siódemka wymalowanych i wystrojonych jak na bal dziewcząt.